

Koniec świata to rzecz normalna

19 marca 2009

Dożyliśmy czasów, kiedy według solennych zapewnień rządzących, to co do tej pory uchodziło za gospodarkę wolnorynkową, może uratować jedynie likwidacja wolnego rynku i masowa ogólnościatowa interwencja finansowa państw. Gdyby brać za dobrą monetę to, co obecnie mówią w telewizorach, trzeba by uznać, że do tej pory mówiono na temat gospodarki same głupoty.

Najwyraźniej nikt na to nie zwraca uwagi i nikomu to nie przeszkadza, co oznacza, jak niedaleko nam do Orwella i ciągłego przepisywania historii na bieżący użytek.

Szczególnie drastycznie ową wolę widać w Polsce, gdzie mózgi całkowicie sprząła masowa propaganda. Tak więc w latach 90. tłumaczono w gazetach, że Polska musi jak najszybciej doszłusować do wolnorynkowej ferajny, państwo broń Panie Boże nie może ratować przedsiębiorstw przemysłowych, ponieważ trzeba je na gwałt prywatyzować, ergo rozkradać. Według obowiązującej wówczas „linii partii”, pierwszy milion trzeba ukraść, bo inaczej całe pokolenia trzeba będzie czekać na wyklucie rodzimych kapitalistów.

Tak więc elita albo kradła, albo cielęcymi oczami biernie patrzyła, jak się kradnie i niszczy dorobek pokoleń. Miały to być, podług obowiązującej wówczas mantry, „koszty reform”. Najlepsze polskie zakłady padały jak muchy, aby je później za bezcen można było szabrować, a rząd palcem nie raczył kiwnąć, przeciwnie, pomagał jeszcze je dobijać.

Dzisiaj na świecie obowiązuje zgoła inna filozofia ekonomiczna, dziś nawet superteutońskie firmy jak BMW, nie wstydząc się, wyciągają rączki po państwowe wsparcie; wielkie zakłady ratowane są przez gwarancje rządowe, każdy pilnuje

swego, ale wciąż nie w Polsce.

W Polsce padła właśnie Stocznia Szczecińska, chluba przemysłu i myśli inżynieryjnej, a w Warszawie jakby nigdy nic, premier z wicepremierem biegają w krótkich majtkach po murawie i kopią piłkę zamiast głosować w Sejmie.

Jakby tego surrealizmu było mało, w ramach programów pomocowych wyrzucanym na bruk stoczniovcow proponuje się otwieranie dofinansowywanych z funduszy unijnych własnych biznesów w postaci... sklepów internetowych i salonów masowania.

Oczywiście natura nie znosi próżni i niebawem jakaś niemiecka grupa inwestycyjna kupi za jednego euro postoczniovcowe tereny oraz urządzenia, organizując na miejscu godną następczynię hitlerowskich stoczní Oderverke i Vulcan, z których gruzów Polacy wybudowali Stoczní Szczecińską.

No i gut. Przecież już od czasów Bismarcka jest jasne, że Polacy nie potrafią się rządzić. Każdy Niemiec to wie, a ostatnio dowiaduje się coraz więcej Polaków, których własny rząd ze wzruszeniem ramion wysyła do ogonka w arbeitsamcie.

Takie czasy.

Prezydent Amerykanów Obama rusza tymczasem w świat, namawiając do skoordynowanej akcji ratowania zachodniego konsumeryzmu. Wyzwania gospodarcze – panie kochany – są dzisiaj tak szalone, że konieczna jest globalna kooperatywa, a może i rząd – oczywiście kierowany przez tych mądrzejszych, wybranych ludzi. Amerykanom pali się dolar pod nogami i szukają na gwałt sposobu na ustabilizowanie pokładu. Dlatego pani Clintonowa również świat oblatuje, rozdając słodkie uśmiechy, jak nie w Chinach, to w Rosji, której właśnie zaproponowano „zresetowanie” stosunków i „nowe partnerstwo”. Ciekawym, co na to polski prezydent, który jeszcze do niedawna był bardziej amerykański niż Amerykanie, i potrząsając groźnie antyrakietową fatamorganą, pouczał otoczenie, jak to Rosjan należy krótko trzymać za twarz; ciekawym, jak wygląda wariant

B polskiej polityki bezpieczeństwa narodowego (o ile w ogóle coś takiego istnieje), do niedawna opartej ponoć na „szczególnym partnerstwie transatlantyckim”.

„Szczególne partnerstwo” rodzi się dzisiaj naturalnie między USA a Rosją, dokąd wracają tabuny biznesmenów z ogólnoswiatowej klasy rządzącej. Wszak oni mówią po obu stronach oceanu tym samym językiem.

Żyjemy w ciekawych czasach – to widać, słyszać i czuć, dlatego co rusz ktoś wieszczy wielki koniec. Trudno powiedzieć, aby była to oryginalna idea, pierwszy raz zetknąłem się z nią na katechezie w szkole podstawowej, a przypomina się ją na każdej Mszy św. Jeśli takie przepowiednie dzisiaj kogoś szokują, to chyba tylko ignorantów nieznających przesłania, na którym ufundowana jest cała zachodnia cywilizacja.

Z biegiem lat koniec świata coraz bliższy i co z tego? Jakie to ma praktyczne znaczenie dla naszego życia?! Wiadomo od urodzenia, że nasz indywidualny koniec również jest coraz bliższy, a na śmierć, tudzież koniec świata każdy człowiek cywilizowany w europejski sposób, powinien być zawsze gotowy. I to nie tak, że sobie zasadzi ziemniaki w ogródku, jak radzą niektórzy, tylko że posprząta w głowie i sumieniu.

Generalnie dobrze jest dziś posprzątać, bo ludzie, którzy mają nieposprzątane pod kopułą, nie są w stanie posprzątać we własnej miejscowości, gminie, powiecie czy całym kraju. I stąd bezhołowie. Bez posprzątania żadnego kryzysu się nie przezwycięży.

Na razie zresztą elity rządzące nie tyle usiłują przezwyciężyć kryzys, co uratować przed rozpadem globalny system finansowo-gospodarczy; system, który w najoczywistszy sposób zbankrutował i do ratowania się nie nadaje. Na razie tylko łatamy dziury w statku i wylewamy wodę, bo nikt nie ma odwagi zmienić kursu, choć rafę widać gołym okiem.

Autor: Andrzej Kumor

Źródło: [Tygodnik „Goniec” z Toronto](#)